



HELENA SEKUŁA



PIĄTA BARWA ASA

Helena Sekuła

PIĄTA BARWA ASA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-13-7

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Ludzie jeszcze nie spali, bo pora nie była zbyt późna, a w telewizji transmitowano mecz piłki nożnej Polska – Walia, rozgrywany w Cardiff, więc korytarze i klatki schodowe ogromnego bloku były puste.

– Ratunku... On go zabił! – przed numerem czterysta piętnaście krzyczała kobieta i ten krzyk zaalarmował, mieszkańców dwunastego piętra. Nawet mężczyźni oderwali się od ekranów i wybiegli na korytarz.

Ona wciąż krzyczała, potem czepiała się ludzi rozlatanymi rękoma, dopóki nie zjawił się dozorca i lekarz mieszkający na tym samym piętrze. Oni obaj weszli pierwsi do mieszkania, a lekarz zaraz wezwał pogotowie.

Gdy obejrzałem ten blok – osiemnaście pięter, łącznie sześćset osiemdziesiąt lokali, długie jak ulice korytarze i trzy windy, ciągle w ruchu – to małe miasteczko, gdzie gnieździ się prawie dwa tysiące ludzi i nikt na nikogo nie zwraca uwagi, gdzie większość lokatorów zamieszkujących jedno piętro nie zna się między sobą, a już mowy nie ma, aby znali znajomych swoich sąsiadów, wiedziałem, że niewiele się tu dowiem.

– Mnie się od razu wydało – powiedział później dozorca, że ten na tapczanie żyje i nic mu nie jest, tylko zalany w płaskorzeźbę.

Trzeba przyznać, że był z niego niełichy diagnostyk w tej dziedzinie, bo rozpoznanie okazało się bezbłędne, chociaż widział tamtego tylko z progu przedpokoju. Lekarz, który pierwszy zobaczył trupa pod oknem, nie pozwolił mu ani chodzić, ani niczego dotykać, uznawszy, i słusznie, że to sprawa milicji.

Do mnie zadzwonił komendant dzielnicy.

– Panie prokuratorze – mimo że kilka lat ciągaliśmy razem to, co zwykło się nazywać bezpieczeństwem dzielnicy, jakoś nie byliśmy dotychczas na ty, może z powodu różnicy wieku; byłem prokuratorem, o którym wciąż jeszcze mówiło się: młody!

Miałem trzydzieści trzy lata, dyplom, sześć lat praktyki i otworzony przewód doktorski, który Bóg raczy wiedzieć kiedy zakończę, a on był starym praktykiem, żeby nie powiedzieć rutyniarzem, i moje ingerencje w sprawach śledczych często go uwierały, bo facet czasami działał jakby to on stanowił prawo. Ja się na to nie godziłem. Brałem poważnie literę prawa, zobowiązującą mnie do prowadzenia śledztwa, i nie chciałem być prokuratorem malowanym, co to tylko podpisuje podsunięte mu papierki... I nie wstydzę się tego, miałem także osobistą ambicję prokuratora Jerzego Bielskiego. Chciałem kierować śledztwem i brać bezpośredni udział w wykrywaniu poważniejszych spraw.

Byłem także zastępcą prokuratora dzielnicy, a długotrwała choroba szefa sprawiała, że faktycznie ja kierowałem prokuraturą i byłem odpowiedzialny za całokształt jej działalności.

– ...mamy na dzielnicy morderstwo! Pojedzie pan? – Rozumiałem dobrze, że wcale sobie tego nie życzy, ma mnie za natręta i każdy mój wyjazd na miejsce przestępstwa poczytuje za brak wiary w obiektywizm i umiejętności milicji. A do tego w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak mogę mu w czymkolwiek pomóc.

Prawie równocześnie z nami przyjechała grupa operacyjno-dochodzeniowa z komendy miasta; przed wejściowymi drzwiami z mosiężną tabliczką, na której wygrawerowane było nazwisko: Brygida Kostrzyca, stał plutonowy z wozu interwencyjnego, na klatce schodowej tłoczyli się gapie.

Natomiast sierżant, który zawiadomił komendanta i wezwał służbę kryminalną, wspólnie z jakimś mężczyzną, który przedstawił mi się później jako lekarz, usiłowali ocucić leżącego na tapczanie.

– Stan narkozy podchirurgicznej – powiedział na nasz widok lekarz, określając stopień upojenia alkoholowego delikwenta.

W tym samym pokoju, w pobliżu balkonowego okna, nakryte dużym dywanem leżały zwłoki; mocno zbudowany człowiek, około, a może po pięćdziesiątce, nie dawał już żadnych znaków życia. Śmierć musiała nastąpić kilka godzin temu, jednak nie tak dawno, bo ciało było jeszcze elastyczne, bez charakterystycznego zeszywnienia.

Obok, jak w teatralnej scenerii, leżał sztylet ze stalową klingą i rękojeścią z perłowca, inkrustowaną miedzianą żyłką, ale na ciele zmarłego nie było żadnej rany, nie było nawet draśnięcia.

Wyglądało na to, jakby sprawca rozmyślił się w ostatniej chwili i zdecydował się na zadanie śmierci w inny sposób, a to narzędzie beztrząsco odrzucił. Czy to w ogóle było zabójstwo?

Na ciele odkryliśmy stare ślady pobicia, ale z pewnością nie one stały się przyczyną śmierci.

Znaleźliśmy przy zmarłym dowód osobisty na nazwisko: Władysław Banaszcak, a Brygida Kostrzyca, która otrzymała środki uspokajające, stwierdziła, że zabity był jej przyjacielem, mieszkał z nią w tym mieszkaniu już od przeszło trzech lat.

Uspokoiła się po przeżytych szoku i wreszcie można z nią było rozmawiać.

Czy zna tego pijanego mężczyznę, śpiącego na tapczanie? – sierżant podał mi jego dokumenty. Nazywał się Chmielnik, nomen omen – Antoni Chmielnik, i jak wynikało z dowodu, pracował jako zbrojarz w przedsiębiorstwie budowlanym Omnipex; dwadzieścia osiem lat, kawaler, ostatnio zatrudniony przy budowie w NRD. Zameldowany na stałe w Warszawie.

– Nigdy go nie widziałam i pierwszy raz słyszę to nazwisko – zarzekła się – ... a może to jakiś kumpel mojego męża? – powiedziała po chwilowym wahaniu.

Okazało się, że ma męża, z którym nie żyje od pięciu lat, lecz dotychczas formalnie się nie rozwiodła.

– Czy on pani groził?

– Nachodził mnie, ale Władek go pogonił.

– Jak mam rozumieć to: pogonił?

– Trochę go potarł i wyrzucił za drzwi.

– Czy Władysław Banaszcak został niedawno pobity? – skinęła głową. – W jakich okolicznościach?

– Nic mi nie powiedział... On był skryty i mało mówny i jeśli czegoś nie chciał powiedzieć, to lepiej było nie pytać, bo się złościł.

– Czy mógł go pobić pani mąż?

– Nie... Chyba nie, to chuchro, sam pan zobaczy. Ale może ktoś mu pomagał.

Sierżant był jednak cierpliwy i miał swoje wypróbowane sposoby na cucenie pijaków; na przemian podsuwał Chmielnikowi pod nos amoniak, to znowu nacierał mu kark zimną wodą. Po godzinie takich zabiegów delikwent poderwał się po kolejnym niuchu amoniaku, usiadł i powiódł po nas oszołomionym spojrzeniem.

– Gdzie ja jestem, panie władzo? – wlepił mętne jeszcze oczy w sierżanta.

– Bo chyba nie w żłobku? – uważnie rozejrzał się po pokoju, spojrzeniem natrafił na ciało Banaszczaka i otrząsnął się jak na widok potwornej zjawy. – Skąd się tutaj wziął ten facet i co mu się stało?

– Morderca!!! – histerycznie krzyknęła Brygida Kostrzyca. – Tylko on mógł to zrobić!

– Co ona wygaduje? – Chmielnik nic nie rozumiał; nerwowo pocierał czoło, usiłował się jakoś odnaleźć.

Powiedziałem mu, że ta kobieta mieszka tutaj i znalazła przed godziną ciało zamordowanego przyjaciela, natomiast on – pijany do nieprzytomności – leżał obok na tym tapczanie.

Chmielnik jakby otrzeźwiał, dopiero teraz zrozumiał, o co go oskarżają.

– To wariatka! – chwycił się za głowę. – Gdy z nią tu przyszedłem, nie widziałem żadnego mężczyzny, ani żywego, ani umarłego... Teraz przypominam sobie, że ten dywan leżał jakoś tak wybrzuszony, ale nie zwróciłem na to uwagi, byłem na ciężkiej bani i przede wszystkim interesowała mnie ona...

– Ja tu z tobą przyszedłem, łobuzie?!!! Ja!!! Panie prokuratorze, on kłamie... Potwór!

Kobieta zaczęła histeryzować, krzyczeć i nie dawała mu mówić; usiłowała rzucić się na niego i znów dostała ataku nerwowego, a może udawała?

Kazałem więc zabrać Chmielnika do komendy i tam wysłuchałem go do końca.

Był w knajpie i spodobała mu się ta kobieta, więc przysiadł się do jej stolika, a ona była nie od tego; był już mocno pijany, ale wypił z nią jeszcze pół litra wódki, potem ona zabrała go do siebie. Jak się do niej dostali? Nie wie, może później sobie przypomni, gdy na dobre wytrzeźwieje...

Wydaje mu się, że pamięta ten nieład w mieszkaniu i zsunięty w kącie dywan, ale jak już mówił, nie interesowało go mieszkanie, tylko kobieta. Miała trochę wódki, stała na stole, ot! naparstek, więc gdy wypili, to ona chciała pić jeszcze i powiedziała, że przyniesie z jednej mety, którą zna. Meta miała być blisko.

Oczywiście zgodził się, skoro lalunia miała pragnienie, i nawet dał pieniądze. Ile? Nie pamięta... Według niego to ona poszła i wróciła z milicją, aby go zrobić w morderstwo.

Następnego dnia wznowiłem przesłuchanie; powtórzył mi to samo, słowo w słowo.

– Jaka to była knajpa? – tego nie pamiętał, tak samo, jak nie potrafił sobie przypomnieć, w jaki sposób dostał się z tą kobietą do mieszkania.

– Tylko co wróciłem z zagranicznej budowy, a tam człowiek korka nie wachał... Nasz inżynier za jeden tęgi ochłaj z roboty zdejmuję i ciupasem do domu wysyła, ostry jest! No to kto byłby taki głupi, żeby dobry zarobek przez picie tracić?... A jak przyjechałem na urlop, to popłynąłem. Zacząłem w „Kameralnej” na Rakowieckiej, potem „Rybkoł”, wie pan, rybna na Puławskiej, potem „Bar pod dwójką” przy placu Unii, bo ja jestem, psiakrew, wędrowniczek, jak popiję... Nie, nie zaczynałem sam, ale kumple odpadali po drodze... Co pan ze mną chce zrobić, panie prokuratorze?

– Niech pan przypomni sobie tę knajpę i gdzie się pan rozstał z ostatnimi kompanami.

– Chyba w „Końskiej”?... To taki lokal na Mokotowskiej, teraz się nazywa „Nowa”, kiedyś była „Tatarska”... Panie prokuratorze ja mam dwa tygodnie urlopu i jeśli je spędzę w kiciu, to świat się nie zawali, ale jeśli mnie pan przypudli na dłużej, to załatwi mi pan życiową sprawę, bo już nie będą miał po co wracać na tamtą budowę.

– Przypomnij sobie, do diabła, człowieku, przynajmniej dzielnicę, w której była ta knajpa! – nie mogłem go puścić, chociaż wierzyłem w każde jego słowo. Tymczasem zleciłem milicji przesłuchanie kolegów, z którymi pił, a sam zabrałem się do bieżącej korespondencji.

I zaraz zaczął się codzienny młyn; z miejskiej prokuratury karcące ponaglenie: sprawozdanie! Fakt, jeszcze nie wysłałam, dziś właśnie miałem je wykończyć, ale zdaje się teraz do niego już nie siądę. Ostatecznie to tylko papier, a tu mam żywego człowieka, któremu mogą złamać życie.

I jak na złość tuzin innych, niecierpiących zwłoki spraw; ktoś tam z góry interesuje się nadzorem ogólnym, i czy aby dostatecznie czuwam nad orzecznictwem karno-administracyjnym, wreszcie narada – na śmierć zapomniałem – na temat skarg i zażaleń.

Zbuntowałem się, wysłałem praktykantkę, w odpowiedzi wściekły telefon od organizatorów: dlaczego nie osobiście? Bo nie mam czasu! – niemal rzuciłem słuchawkę.

Byłem już porządnie zły, gdy przyszedł oficer służby kryminalnej z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie Brygidy Kostrzycy.

– Dlaczego, po co ten areszt? – położył przede mną gotowy, wypełniony już druk, tylko sięgnąć po długopis i podpisać. No pewno, co to mu szkodzi, niech sobie tymczasem posiedzi do wyjaśnienia.

– Ona kręci! Po pana odjeździe atak nerwowy minął jak ręką odjął, natomiast bardzo potrzebowała powietrza, więc wyszła na balkon. A tam okazało się, że w ziemi, w skrzynce na kwiaty zagrzebana jest biżuteria. Nie uważa pan, że to bardzo szczególny sposób przechowywania klejnotów?

– Co ona sama mówi o pochodzeniu tej biżuterii?

– Własność Banaszcza. Schował tam przed złodziejami. Obawiał się kradzieży.

– Co jeszcze do niej macie? – podsunął mi teczkę z wywiadem dzielnicowego, przesłuchanie świadków – znów papierzyska. Jak oni to sprawnie robią, z dokumentacją uwinęli się piorunem. Ale opinie milicji o tej kobiecie i jej kochanku były dobre. Pomyślałem tylko, że na taki blok o dwóch tysiącach mieszkańców potrzebny byłby oddzielny dzielnicowy i także miałby co robić.

– Nie dam nakazu tylko dlatego, że ktoś trzyma biżuterię w skrzynce od kwiatów, a nie na przykład w bieliźniarce. Przecież nawet nie wiemy dotychczas, jaka jest przyczyna śmierci! Nie widzę protokołu sekcji zwłok.

– Medycyna marudzi, mają tam jakiś zgryz, wezwali profesora.

Przeczytałem informacje: Brygida Kostrzyca, lat trzydzieści sześć, była kelnerka z „Arkadii”, zwolniona na własną prośbę – opinia bardzo dobra. Po zwolnieniu uzyskała koncesję na agencję i prowadzi lokal gastronomiczny, „Homar”. Na urządzenie lokalu otrzymała pożyczkę z banku, spłaca ją regularnie. Wóz dostawczy combi; zarejestrowany wraz z otwarciem lokalu, sześć tygodni temu kupiła samochód osobowy marki „Warszawa”, numer rejestracyjny... od Marii Zasławskiej.

Złożone przez nią zeznania różniły się nieco od wyjaśnień kelnerki „Homara”. Sprzeczności dotyczyły godziny wyjścia z lokalu.

Kazałem przysłać do siebie kelnerkę, a następnie agentkę – jednak nakazu na nią nie podpisałem.

Na pytanie, o której agentka opuściła lokal, kelnerka wymieniła tę samą godzinę, którą podała do protokołu; było to znacznie wcześniej, niż zeznała Kostrzyca, prawie o godzinę.

– Pani Kostrzyca często pozostawiała lokal pod pani opieką?

– To się nie zdarzało. Jeśli szefowa wychodziła wcześniej, to zastępował ją pan Banaszcza. Zresztą pan Banaszcza prawie zawsze po południu urzędował w „Homarze”.

– Czy tego dnia dzwonił ktoś do szefowej?

– Tak, pan Banaszcza prosił ją, aby natychmiast poszła do domu i zaraz po tym szefowa wyszła, ale zapowiedziała, że niebawem wróci.

– Kto odebrał ten telefon? – oczywiście szefowa. Więc nikt nie może potwierdzić, że to dzwonił przyjaciel agentki? – Nie, nie może...

Brygida Kostrzyca w czasie rozmowy ze mną była mocno wystraszona. Jej zdaniem kelnerka pomyliła godzinę i to wcale nie ze złej woli, po prostu tak jej się wydaje. No cóż, ona także może się mylić – ale nie aż o godzinę! Nie

spojrzała na zegarek, gdy zadzwonił ten telefon, nie wyliczała minut. Gdyby przeczuwała to nieszczęście, oczywiście zapamiętałaby czas co do sekundy, ale tak! Nikt przecież nie żyje ze stoperem w ręku... Po tym wezwaniu śpieszyła się do domu i nawet na myśl jej nie przyszło, że zastanie go nieżywego.

– Powiedział, po co panią wzywa?

– Tak... miał być plantator pieczarek, z którym chciałam się umówić o stałe dostawy.

– Nie mógł przyjść do „Homara”?

– Widocznie nie mógł, no nie wiem... Bo to był protegowany Władka i ja go dotychczas nigdy nie widziałam – okazało się, że nawet nie знаła jego nazwiska.

– Ile czasu zabrała pani droga z „Homara” do domu, pani jechała samochodem, tak?

– Tak. Czy ja wiem? Może dwadzieścia minut...

– Jak więc wytłumaczyć fakt, że w przeciągu takiego krótkiego czasu zwłoki Banaszczaka zdążyły już ostygnąć? No więc, kto dzwonił do pani do restauracji i co powiedział, że pani natychmiast opuściła lokal?

Milczenie, przerażony wzrok, łzy. Wreszcie zdławiony szept: – Może ktoś się pod niego podszył, nie wiem, nic z tego nie rozumiem...

Nadal jednak upierała się, że był to głos jej kochanka i chodziło o dostawcę pieczarek.

– Pani kupiła samochód od żony profesora Zasławskiego?

– Nie wiem, czy ona profesorowa, czy też nie, nazywa się Zasławska.

– Kiedy ją pani poznała?

– Przy kupnie samochodu... przyszłam do niej z ogłoszenia.

Nie podpisałem sankcji na tę kobietę, mimo że niektóre jej stwierdzenia były niejasne lub wręcz odbiegały od prawdy... Nie, nie wierzyłem w istnienie plantatora pieczarek, za tym kryło się coś innego, ale czy to i jeszcze kilka nieścisłości miało decydować o zastosowaniu aresztu?

Dano mi znać, że Chmielnik koniecznie chce ze mną rozmawiać.

– Panie prokuratorze, przypominałem sobie pewien szczegół; w tej knajpie, w której poderwała mnie ta babka, były bardzo strome schody do toalety, takie z pieca na łeb i nawet szatniarz mnie przestrzegał, żebym się nie wykosił. Znam kilka knajp z takimi schodami, pan prokurator chyba też zna, pojedźmy do nich, może ja sobie przypomnę, może mnie sobie przypomni ktoś z obsługi... Niech mi pan da szansę!

On mnie prosi o szansę! Co ci ludzie sobie wyobrażają o instytucji prokuratora. Kojarzy im się wyłącznie z oskarżeniem, karą, pozbawieniem wolności, a przecież chodzi tylko o prawdę.

Dałem mu tę szansę i zjeździłem z nim miasto wzdłuż i wszerz.

Znaleźliśmy ten lokal! Mieścił się za rogiem domu, w którym mieszkała agentka, i rzeczywiście były tam karkołomne schody wiodące do toalety.

Szatniarz, onże wykidajło, rozpoznał go natychmiast i przypomniał sobie jego partnerkę. Powiedział, że gdy tylko ta kobieta weszła wieczorem do baru, od razu wydała mu się dziwna; w pierwszej chwili pomyślał, że jest pijana, ale gdy się bliżej przyjrzał, okazało się, że nie. Już on się na tym zna!

Była jakaś taka zastygła. Błyszczące, nieobecne oczy, niezbyt skoordynowane ruchy. Pomyślał nawet, że może po narkotykach. Nie, nie znał jej. Nigdy przedtem tu nie przychodziła. Zna z widzenia wszystkie samotnie przychodzące do tego baru; jest tu taka kategoria kobiet. Natomiast ta nie wyglądała na profesjonalistkę.

Kelner także zapamiętał tę kobietę, zażądała coś do jedzenia i setkę wódki. Podał – jedzenia nawet nie tknęła. Było około dziewiątej, o tej porze goście, prawie sami mężczyźni, byli już – z nielicznymi wyjątkami – mocno podpić; samotna kobieta nie powinna w takich barach pić wódki, bo zaraz skoncentruje na sobie uwagę mężczyzn. Szczególną uwagę.

Więc wzbudziła zainteresowanie niemal natychmiast, tym bardziej że nie była stara... bardzo ładna i doskonale ubrane. Drażniła innością.

W tym barze kobiety pijące samotnie mają wulgarne, wyniszczone twarze, wyzywający makijaż, od razu widać, kto zacz, a ta? Nie sprawiała wrażenia ani alkoholiczki, ani prostytutki. Więc kim była, dlaczego prowokowała tą setką czystej wódki?

I jak było do przewidzenia, wystartował do niej dobrze pijany gość – ledwo już na oczy patrzył, aż dziw, że ją dostrzegł – powiedział kelner.

– Lalunia sama? – kelner wtedy się zląkł, że jeśli ona zbyt surowo odprawi natręta, tamten może jej naubliżyć. W razie czego postanowił interweniować; ale ona nie, z jakimś drewnianym uśmiechem, od razu przyjęła towarzystwo pijanego. Facet, rozanielony, triumfująco potoczył wzrokiem po sali.

– Piękna sztuka, co? – powiedział do kelnera, zamawiając już wspólną wódkę – pół litra. Pili na tempo, kobieta wciąż dolewała temu człowiekowi i chyba w kwadrans byli gotowi z tą flaszką. Kelner był ciekaw, czy mężczyzna będzie wstanie ruszyć się od stolika; ale wstał i poszedł, gdy tylko kobieta ujęła go pod rękę.

Zarówno kelner, jak i szatniarz, byli niemal oburzeni tą jej łatwością, tym brakiem wyboru, że tak się nie szanuje, i dzięki temu zapamiętali tego jej przygodnego partnera, który wtedy wydał im się bardzo prymitywny, tak nie pasujący do niej...

To był właśnie Antoni Chmielnik; tyle że teraz trzeźwy i znękany prezentował się zupełnie inaczej, a tak naprawdę wcale nie był prostytutką.

Zadzwoiłem stamtąd, aby niezwłocznie przywieziono Brygidę Kostrzycę; zarówno szatniarz, jak i kelner stwierdzili kategorycznie, że to nie jest tamta kobieta.

– Ale się urząnął, co? Namotał babkę i nawet nie pamięta, jak wyglądała – śmiał się kelner. – Panie prokuratorze, on był w takim stanie, że jemu było potrzebne łóżko, ale bez kobity.

A więc kim jest ta, którą Antoni Chmielnik „namotał”? Bo niewątpliwie to ona przyprowadziła go do mieszkania Brygidy Kostrzycy. Świadkowie utrzymują, że była bardzo piękna i bardzo elegancka, tylko dziwna, jak gdyby nienormalna. Była tak dziwna, że nie zapamiętali ani koloru włosów, ani innych szczegółów, pozostało tylko ogólne wrażenie. Jednak z całą pewnością nie była to agentka „Homara”, wprawdzie niebrzydka, ale przeciętna, w żadnym razie nie można było powiedzieć o niej: piękna.

W jakim była wieku? Może miała trzydzieści lat, może więcej, nastrojowe światła w barze są dla kobiet łaskawe.

Nareszcie odezwała się medycyna sądowa i otrzymałem niezwykle protokół sekcji zwłok. W całej swojej sześćioletniej karierze nie spotkałem się z taką przyczyną śmierci. Komendant dzielnicy przyznał, że on także nie słyszał o czymś takim, mimo dwudziestu pięciu lat służby milicyjnej.

Otóż lekarz od razu podejrzewał zatrucie. W czasie obdukcji zaś stwierdził na prawym ramieniu ukłucie od igły, a pod skórą resztki penicyliny, natomiast w narządach wewnętrznych ślady alkoholu i silnego środka nasennego.

Młody medyk, nie mogąc się sam uporać z tym dziwnym przypadkiem, wezwał na pomoc profesora, no i wygotowali nam orzeczenie, z którego wynikało, że śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia, w następstwie anafilaktycznego szoku, spowodowanego penicyliną.

W jaki sposób penicylina spowodowała śmierć?

Profesor przyjął, że Władysław Banaszczak był uczulony na penicylinę. Natomiast alkohol powoduje dalszy spadek występującego przy anafilaksji – jest to szczególna forma alergii – obniżonego ciśnienia krwi, co w konsekwencji prowadzi do gwałtownej śmierci.

Brygida Kostrzyca potwierdziła bez wahania, że jej kochanek był uczulony na penicylinę. Kto oprócz niej wiedział o tym? Każdy, kto tylko chciał słuchać narzekań Banaszczaka na lekarzy, stanowczo odmawiających mu tego leku.

Często chorował? Ależ nie, tylko był przekonany o uniwersalnej skuteczności penicyliny, może dlatego właśnie, że nigdy jej nie otrzymywał.

Skrupulatni pracownicy służby kryminalnej odnaleźli w mieszkaniu agentki, w pojemniku na śmieci, ampułkę po penicylinie. Nie odnaleziono jednak ani igły, ani strzykawki. Ustalono także, że zmarły nie był mańkutem, należało więc wykluczyć możliwość dokonania zastrzyku przez niego samego, lewą ręką w prawe ramię.

Odpadły wszelkie wątpliwości; to było morderstwo, popełnione przez kogoś, kto ma niejakie pojęcie o medycynie i wiedział o uczuleniu Banaszczaka na penicylinę.

Brygida Kostrzyca? Ale dlaczego miałaby to zrobić. Brak zresztą jakichkolwiek dowodów.

Wytworna pani, która zwabiła Chmielnika? Ciągłe szukano tej zagadkowej kobiety z baru. Na temat jej związku z zabójstwem konstruowano najbardziej fantastyczne wersje; działała na wyobraźnię.

Eksperci z Zakładu Kryminalistyki złożyli wreszcie szczątki jakiegoś listu znalezione w kieszeni Banaszcza. Na arkusiku listowego papieru naklejone były wycięte z gazety drukowane litery. Początku wersu brakowało, zachowały się tylko słowa: ... jeśli chcesz jeszcze pożyć: Dama Pik.

Brygida Kostrzyca, zapytana o ten anonim, nie chciała lub nie umiała nic powiedzieć; nie, nie wiedziała, że jej przyjaciel otrzymywał pogróżki, nigdy jej o żadnych anonimach nie wspominał.

Dama Pik! – przypomniał mi się as pik, karta znaleziona przy zamordowanej kilka miesięcy temu kobiecie. Ta kobieta nie miała twarzy, rozgniółł ją protektor auta, a jedyny rzeczą, jaką przy niej znaleziono, była ręcznie malowana karta.

Samochód, którym posługiwał się zbrodniarz, miał być marki „Warszawa” – tak przynajmniej zeznał jedyny świadek, który sam zgłosił się do milicji, utrzymując, że widział samochód zabójcy.

Tej samej marki był wóz, który agentka niedawno kupiła od profesorowej Zasławskiej... Ale te samochody są tak popularne, że chyba nic z tego nie wynika.

Mimo woli tamtą bardzo piękną i bardzo dziwną kobietę z baru, która zwabiła do mieszkania Brygidy Kostrzyny zupełnie pijanego Chmielnika, zacząłem kojarzyć z ową Damą Pik, chociaż te anonimy mógł równie dobrze podpisywać w ten sposób mężczyzna.

Zdawałem sobie sprawę, że trzeba tu działać szybko, dopóki wspomnienie jej twarzy nie zatarło się w pamięci obsługi baru, bo przecież codziennie nakładają się na nie setki innych twarzy i potem zeznania tych świadków przestaną mieć wartość dowodu.

Pojechałem do Monopolu Spirytusowego w Jeziornej, gdzie pracował w charakterze magazyniera Banaszcza; w kadrach powiedziano mi, że właśnie wczoraj otrzymali od niego list, w którym magazynier nie podając żadnych motywów wymówił pracę w trybie natychmiastowym.

Pokazano mi ćwiartkę papieru, pokrytą kanciastym pismem. Gdzie był nadany list? Nie wiedzą, nie zwrócili uwagi. Koperta nie zachowała się – wtedy jeszcze nic nie wiedzieli o wypadku.

Bezpośrednim zwierzchnikiem magazyniera była inżynier-technolog Halina Klim, sprawująca w zakładach funkcję inspektora szczególnego nadzoru.

Nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu, więc pozostawiłem dla niej w kadrach pisemne wezwanie do prokuratury.

Czy popełniłem błąd?

Halina Klim nie stawiała się na wezwanie. Naszpikowała się proszkami nasennymi, otworzyła gaz. Od niechybnej śmierci uratował ją kot. Zwykły pręgowany dachowiec, jedyny współlokator tej kobiety. Przeróżnym miauczeniem i drapaniem w drzwi zwałił pomoc.

W bardzo ciężkim stanie przewieziono ją do szpitala i długo szamotała się między życiem a śmiercią; gdy nieco przyszła do siebie po zatruciu, nocą stłukła

szklanę i podcięła sobie żyły. Nic chciała żyć – z oporem poddawała się zabiegom lekarzy, którzy wbrew jej woli zatrzymywali ją na tym świecie.

Mieszkała samotnie w niedawno otrzymanej kawalerce. Rozwódka – czterdzieści trzy lata. Dwoje prawie dorosłych dzieci pozostawiła z mężem.

Gdy pokazano mi jej fotografie – to była jeszcze bardzo efektowna kobieta – przez chwilę sądziłem, że to jest Dama Pik, i stąd jej desperacja po otrzymaniu zawiadomienia od prokuratora.

Jednak to nie była ta dziwna pani z baru. Szatniarz i kelner z lokalu o karkołomnych schodach kategorycznie zaprzeczyli.

– A pan, prokuratorze, myślał, że się to zaraz wszystko pięknie wyklaruje, jak tylko pan rękę przyłoży – powiedział zgryźliwie komendant. – Za taką sprawą trzeba chodzie i chodzić, aż człowiekowi nogi w dupę wejdą...

– Odeszła do kochanka – powiedział o niej były mąż – i w ogóle nie chcę o niej słyszeć. Mam formalny rozwód, nie widywałem jej i nie pozwalałem na odwiedzanie dzieci. To kobieta głęboko niemoralna – ton kaznodziei i wygląd bigota; wyraźnie cieszył go fakt, że jego była żoną interesuje się prokurator. Nie, nie sprawiał przyjemnego wrażenia ten moralny mąż.

Czyżby Władysław Banaszczak był tym kochankiem?

W pracy Halina Klim opinię miała jak najlepszą. Gdy zapytałem o jej ewentualny związek z Banaszczakiem, nikt termu nie dał wiary. To niemożliwe!

Magazyniera charakteryzowano jako człowieka dość ograniczonego, mało efektownego milczka, w żadnym wypadku nie pasował do pani inżynier Klim. Takie sprawy jak skłonność dwojga ludzi łatwo zauważyć, a w ich wzajemnych stosunkach nic takiego nie było.

Halina Klim była surowym i wymagającym zwierzchnikiem – pełniła odpowiedzialną funkcję. Traktowała magazyniera taktownie, ale z dystansem. Banaszczak natomiast odnosił się do niej z szacunkiem i z odpowiednią do jej stanowiska rewerencją. Zresztą inżynier Klimowa miała taki styl bycia, który nie dopuszczał do żadnych poufałości.

To była powszechna opinia, zarówno wśród szefów Haliny Klim, jak i jej kolegów. Do wszystkich odnosiła się grzecznie, ale z rezerwą, była skryta, nie utrzymywała z nikim kontaktów towarzyskich, wiadano, że się rozwiodła, i to wszystko.

Z jakiego więc powodu targnęła się na życie i jaki to miało związek z wezwaniem jej przez prokuraturę?

Zawsze uważałem, że nawet najbardziej zaskakujące zamachy samobójcze, jeśli nie dotyczą chorych psychicznie, są skutkiem głębszych i długotrwałych procesów, które w końcu determinują takie właśnie rozwiązanie.

Dlaczego ten ostateczny, przekreślający wszystko krok musiała uczynić Halina Klim? Sprawy zawodowe? – sądząc z charakterystyk, jakie jej wystawiono, były w idealnym porządku. Czy nie za idealnym?

O mężczyźnie, który tak bardzo zaważył na losie i życiu tej kobiety, poinformowała mnie emerytowana portierka zakładów, pracująca teraz na pół

etatu; sprzątała biuro, parzyła kawę, herbatę i przyrządzała śniadania dla pracowników z nadzoru technicznego.

Pani Lucia, zadbana, ruchliwa niewiasta z dobrą jeszcze figurą i śladami niewątpliwej urody, mimo zbliżającej się sześćdziesiątki, rezydowała w oszklonej jak akwarium klitce, wykrojonej z wnęki na korytarzu dyrekcji, między lodówką i wciąż parującym olbrzymim jak samowar czajnikiem.

– Proszę, proszę, panie prokuratorze! – przetarła ścierką czyste zresztą krzeselko.

– A skąd pani wie? – zapytałem niemądrze, bo przecież już drugi dzień traciłem w zakładach na te jałowe rozmowy, ku niezadowoleniu moich szefów, bo sprawozdanie wciąż było niegotowe. I przecież nie kryłem się tutaj, kim jestem.

– Ale, cały monopol wie, prokurator w zakładzie to nie zwyczajna rzecz. I wiem, że pan o Klimową wypytuje, to ja panu powiem: przez chłopą ona się truła!... Kazio Omerowicz się nazywa, prace zlecone w monopolu ma, bo on malarz, i z pani Haliny poręki on u nas nastał... Tylko, panie prokuratorze, ja to panu towarzysko mówię, bom jej życzliwa i szkoda mi tej kobiety, ale podpisywać to ja nic nie będę... To nie dla niej mężczyzna...

– Niestateczny?

– Za ładny! Chłop jak malowanie i za jej syna mógłby być, młody taki. Ona przecież niczego kobita, a przy nim jak próchno, jak pobielany grób wyglądała... Pewno jej się wstydził, bo bywało, jak przyszedł do zakładów, to ledwo na nią spojrzął i tylko z musu parę słów zamienił... Przez tego kochańca to wszystko, bo ona gryzła się, że on do każdej, byle młoda, zęby szczyrzył, albo i co innego jeszcze, co pan wiesz, a ja rozumiem... Za ładny, panie. Ładny chłop to pieścідło dla innych, kobita jak chce dla siebie kogoś mieć, to powinna według swojej urody chłopą sobie dobierać, ale one tego nie rozumieją, tylko za ślicznotami gonią, a ile tych gładyszy jest? A każdy rozwłóczony jak dziadowski bicz... A przepraszam, pan prokurator żonaty?

Malarz, plastyk!

I naraz wszystko się zamknęło, gdy sprawdziłem adres Kazimierza Omerowicza. Mieszkał w willi Zasławskich!

–...pamiętam albo i nie pamiętam, to zależy... Po tylu latach, ile to będzie?... powiadasz, że w pięćdziesiątych... tysiąc dziewięćset czterdzieści dziewięć? Czwierć wieku temu, dziewczyno, jak ci na imię... aha, Dorota... Nie bądź taka prędką, najpierw mi powiedz, kto cię do mnie przysłał, właśnie do m n i e?

– Nikt. Po prostu w kadrach zakładów gastronomicznych prosiłam o adresy ludzi, którzy w tamtych latach pracowali... większość z nich jest już na emeryturze... Mam nadzieję, że ktoś z nich pamięta... Jeśli pan zechce sobie przypomnieć, będę bardzo wdzięczna.

– Samą wdzięcznością nie wyżyje nawet taki stary człowiek jak ja.

Przyglądał mi się uważnie zza szkieł w cieniutkiej złotej oprawie; jego oczy wydały mi się niedobre.

Nie wiedziałam, jak dać pieniądze w tych okolicznościach; marudziłam, niezdecydowanie sięgnęłam i gmerałam w torbie, robiąc przy tym masę niepotrzebnych ruchów. Wiedziałam przecież, że wszystko co mam, to trzy banknoty po pięćset złotych i garść bilonu. Ta suma była plonem trzymiesięcznego ciulania. Otrzymywałam od rodziców kieszonkowe, sto złotych tygodniowo, trzysta złotych dała mi Anieli.

Zażądać reszty z pięćsetki? Niezręcznie, może się obrazić, a bilon to jednak zbyt mało. Chciwy starzec! Czułam jego wyblakłe źrenicy na swoich rękach i to pogłębiało moje zakłopotanie.

– To dla pana – onieśmielona podsunęłam mu banknot; no, jeśli dalej będę tak frajersko postępowała, akurat starczy mi pieniędzy na trzech wydrwigroszów i zabraknie na powrotny bilet. Postanowiłam zaraz po wyjściu od niego rozmienić pieniądze.

– Byłaś już u kogo? – odpowiedziałam, że on jest pierwszym, do kogo przyszłam w tej sprawie. – Dlaczego? – żółte jak воск, zniekształcone, reumatycznymi zgrubieniami palce chwyciły moją pięćsetkę. – Dlaczego wybrałaś mnie?

– Był pan barmanem w największym lokalu, dlatego.

– A powiedz mi, po co ci te informacje?

Przygotowana byłam na to pytanie, teraz jednak pomyślałam, że on na pewno chce wyłudzić więcej pieniędzy; zbyt łatwo otrzymał tamtą sumę. Zdałam sobie sprawę, że popełniłam kardynalny błąd. Zapłaciłam z góry za nic. Za mglistą obietnicę poinformowania mnie o osobie, której być może nigdy nie znał.

– Chodzi o spadek... W Kanadzie zmarła ciotka, która w testamencie zapisała swój majątek Marii Koziarek, swej jedynej krewnej zamieszkałej w Polsce. Odszukaniem spadkobierczyni, na zlecenie firmy prawnej z Toronto, zajmuje się znany warszawski adwokat...

– Jak się nazywa?

– Winiarski – powiedziałam pierwsze nazwisko, jakie mi przyszło na myśl. Z tym, że pan Winiarski naprawdę był znanym adwokatem i przyjacielem ojca.

– Winiarski – powtórzyłam – jest pełnomocnikiem tej firmy.

– Aha... to ten adwokat wyszperał, że Maria Koziarek w latach pięćdziesiątych przebywała w Szczecinie?

– Tak! I odtąd urywa się wszelki ślad.

– A to przezwisko, Perła, także odkrył Winiarski? – potwierdziłam. – Dlaczego mecenas nie zwróci się z tym do milicji, nie da ogłoszenia w prasie? – brakowało mi argumentów na przekonującą odpowiedź. Milczałam. – Czy on nie wie, że po forszę to nieraz umarli wstają? Po takim anonsie miałyby kupę facetek o nazwisku Koziarek, tylko wybierać... Aha, przysyła cię adwokat, znany adwokat... A czym ty u niego jesteś?

– Aplikantką – i już wiedziałem, że się wygłupiłam; zdałam sobie sprawę, że stary nie wierzy ani w moją aplikantkę, ani w słynnego mecenasa. Przestraszyłam się, na pewno teraz przestanie mi ufać i nic puści farby.

Zaczerwieniłam się przy tym, a świadomość, że mi płoną policzki, do reszty niweczyła pewność siebie. Nie śmiałam podnieść oczu, bojąc się, że stary do końca przejrzy moją nieudolną grę. Gorączkowo zastanawiałam się jak wyjść z tego impasu, jak odkręcić kłamstwo, na chybcika budowałam doskonalszą i bardziej prawdopodobną historię. Męczące milczenie przeciągało się, a ja nie wiedziałam, jak wejść ze swoją kwestią.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI